

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

(Ciąg dalszy).

— Wiedziałeś jednak ojcie, o mej kompletnej wzdargie i obojętności względem spraw pieniężnych i dlatego twój środek nie mógłby mnie zawrócić z drogi, po której chciałem iść dalej. Zamiary moje nie były tak niewzruszone, jak mi się to zdawało początkowo!... Człowiek poddaje się iluzjom, a ja je sam sobie stwarzałem! Wierzyłem szczerze, że kocham Łucyę Weill całą swą duszą i dopiero ostatnie wypadki, dopiero twoja brutalna interwencja, sprawiły razem to, iż nastąpił zwrot w kierunku moich uczuć, iż przekonałem się o swym błędzie!

— Wiesz ci tego — odezwał się Joe Duncan, który z palcami, założonymi za kamizelkę słuchał z zadowoleniem swego syna.

— Nie wiesz mi, ojcie, zbyt śpiesznie!... Kocham inną kobietę...

— Co mówisz? — podskoczył na swym fotelu milioner.

— Mówię, że miesiąc czasu poświęciłem na zbawienie swych nowych uczuć!... Miesiąc czasu zużyłem na odkrycie w głębi swego serca szlachetnej miłości, za którą nie będziesz potrzebował ojcie rumienić się tym razem!... Jest to młoda, zachwycająca panna, o szlachetnej duszy i pięknym charakterze i jestem pewien, że ani ty, ani Jonatan Brentano nie będziecie opierali się mym nowym zamiarom. Już miesiąc czasu, jak grywam w każdy wieczór w brydża z panem Marcadianem. Kocham jego siostrzenicę i proszę cię, ojcie, o pozwolenie poślubienia Eweliny Barrabas!

Potem, nachylając się w moją stronę, dodał z domyślnym uśmiechem:

— Tym razem, panie Jonatanie, pański wybieg, choćby najbardziej oryginalny, nie byłby na ulicy Michel Ange uwieńczony powodzeniem... Inna rzecz, gdy chodzi o poślubienie Eweliny! Tak... „ak... Ewelina, to nie Lucy!“

Willam Duncan nie zauważył przerażającego zdumienia, jakie mną ogarnęło, zdumienie bowiem jego ojca było stokroć razy większe... Król papierowy i ja spoglądaliśmy na siebie z półotwartymi ustami, niezdolni do wypowiedzenia żadnego słowa... Joe opowiadał się pierwszy, wstał ze swego fotelu, odepchnął tak głęboko, iż zdawało się, że to zagwizdała syrena okrętowa, wyciągnął przed siebie swe potężne ręce, opuścił je następnie na me ramiona, aż się ugiąłem pod niemi i spoglądając mi prosto w oczy, zapytał grzmiącym głosem.

— I cóż ty na to powiesz, Jonatanie?

— To... to... wymaga zastanowienia! — wyjąkałem z trudem.

Naraz Joe powziął jakieś postanowienie. Nacisnął kapelusza na głowę i oznajmił:

— William! jestem gotów towarzyszyć ci do Marcadiana, którego podstępna grę pojmuję teraz... i którego zmieszanie w czasie jego wizyty przed dwoma tygodniami przypominam sobie doskonale!... Ciekawy jestem ujrzeć twą nową narzeczoną!... Po dziewczynie takiej, jak Łucya Weill ofiarujesz, mi teraz na zmianę za synową dziecko mordecy!

— Barrabas jest niewinny! — zaprzeczył gorąco młody człowiek, czemu mi sprawił wielką radość.

Joe nie odpowiedział nic, wzruszył tylko swemi szerokimi ramionami i poszedł do westibulu po łaskę.

William skorzystał z tego, by zbliżyć się do mnie. ...Podszedł szybko ku mnie, zarzucił ręce na szyję i ściskając z serdecznością, jakiej nie mogłem zrozumieć, szepnął mi pocichu do ucha:

— Jakże ja kocham cię, drogi ojcie i jak jestem szczęśliwy, że cię odnajduję.

Uczułem, jak krew ucieka z mego serca; omal, że nie omdlałem jak kobieta przy tych tajemniczych i przerażających słowach... Jego ojciec?

VII.

Siedząc w parku na ławce w końcu alei grabowej, ulubionym moim miejscu spacerów z łódkami na kolanach, z twarzą wspartą na rękach, starałem się uporządkować swe rozpierzchnięte myśli... Nowy obrót rzeczy, wprowadzony w me obecne życie przez Williama Duncana, nie dawał mi spokoju... Naprzód odczułem coś, jak wielkie, niespodziewane szczęście, które w pierwszej chwili nas przygniata, jak radość, która tamuje nam ze wzruszenia oddech w piersiach... Fakt ten, że prawie nazajutrz po strasznym wypadku, który winien zaciężyć na całej przyszłości Eweliny, odkrywa się przed nią życie bez trosk, wydał mi się raczej cudem lub złudzeniem, niż rzeczywistością.

stością... I istotnie musiałem przyznać, że od chwili, gdy spotkałem u Marcadiana amerykańskiego milionera, życiem mem rządziły jakieś nieprawdopodobne zdarzenia. W niebezpiecznym jednak położeniu, z jakiego nie mogłem teraz wybrnąć, jeden cud więcej lub mniej nie sprowadzał wielkiej zmiany. Po głębszym namyśle, po zatarciu całej przeszłości, a spokojnem rozważeniu tylko przyszłości, doszedłem do przekonania, że wmiśnięcie się w moje przygody syna milionera może wszystko pogorszyć i nie przynieść żadnej korzyści Ewelinie. Było widoczne, że Joe nie zgodzi się również i na to drugie małżeństwo. Nie będzie już miał takich argumentów, jakie miał przeciw Łucyi, wynajdzie sobie jednak inne, a niemniej dotkliwe.

To było przytem pewne, iż ja znajdowałem się w najzupełniejszej zależności od tego człowieka. Ach! gdyby ten głupiec Marcadian miał odwagę przy pierwszej swej wizycie wyznać prawdę, zamiast wykrecać się niedołężnie, może mógłbym razem z Joe znaleźć do tej pory jakie rozwiązanie, nie przynoszące nikomu krzywdy. Teraz już nie czas było na żadne wybiegi! William postawił ojcu stanowcze ultimatum, Joe zaś miał takie usposobienie, iż mógł je przyjąć i cała ma dyplomacja nie przydała się już na nic. Koniec końców zrezygnowałem ze wszystkiego i oczekiwałem nieuniknionej katastrofy, jaka miała nadejść. Zostanę odkryty i cała pomysłowość, jakiej użyłem, by zniknąć i śmierć mej nieszczęśliwej żony okryć pozorami niezgłębionej tajemnicy, nie przyda się na nic. Nie mogłem nawet przewidzieć dalszego biegu wypadków. Domyślać się postępowania, jakie przyjmie milioner, wyobrazić sobie to, do czego jest zdolne podobne indywiduum w podobnych okolicznościach, było to ponad moje siły!

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko z sercem, pełnem gorczy, z umysłem zaszepionym najczarniejszymi przypuszczeniami, oczekiwać cierpliwie jego powrotu. Wstałem z ławki i poszedłem przejść się po aleach. Gdy zamierzałem wyjść poza ogrodzenie, nagle jakaś ciężka ręka spoczęła na mem ramieniu. Był to negr, palacz Bambu, mój dozorca, który rzekł mi, śmiejąc się bezmyślnie:

— Pół obrót, panie!... Zabroniono!

Domyślałem się, że Joe Duncan przed wyjściem wydał odpowiedni rozkaz, nie robiłem też żadnych trudności i wróciłem do domu. Z biblioteki pałacowej wzięłem książkę i starałem się zająć czytaniem „Niezwyczajnych przygód“ Edgara Poego... Trafiałem jednak źle. Otworzyłem książkę na tym ustępie z *Morelli*:

„W istocie nadszedł obecnie czas, w którym tajemnicza natura mej żony coraz bardziej mnie przygniatała. Nie mogłem już znieść dotyku jej palców białych, ani głębokiego brzmienia jej dźwięcznego głosu, ani blasku jej melancholijnych oczu. Ona wiedziała o tem, nie czyniła mi żadnego wyrzutu, zdawała się widzieć mą słabość czy też me szaleństwo i z uśmiechem nazywała to swem przeznaczeniem.“

Odrzuciłem książkę na półkę!... Nie! nie! Gabriela nie była Morellą.

Przyszli dostawcy i oderwali mój umysł od ciągłej troski. Był to krawiec, który przyniósł mi jak najwytworniejszy garnitur frakowy na jutrzejszą ceremonię! Myśl o tem wywołała na mych ustach żalostny uśmiech... Następnie zjawiły się szwaczki z wielkimi kartonowymi pudełkami, z których wydobyły suknię brokatową i ślubny welon dla Łucyi Weill... Bambu przyjmował ich wszystkich z prawdziwie afrykańskim wdziękiem. Dla rozerwania swych myśli wzięłem inną książkę z etażerki... Zacząłem przeglądać ją niedbale... Przystąpiłem już do czytania nowelli: „Metzengerstein“... Trafiałem jednak z deszczu pod rynnę... Pierwsze zaraz wiersze zirytowały mnie zupełnie...

„Przerażenie i rozpacz rządzą ludzkością“...

Podniosłem oczy od książki i ujrzałem coś, co od razu zmieniło kierunek mych czarnych myśli. Przed lustrem stał Bambu w śmiesznej pozycji i wykrzykiwał się w dziwaczny sposób, przymierał na swej czarnej głowie o krętych włosach wianek z kwiatu pomarańczowego; uśmiechał się przytomnie, okazując dwa rzędy białych zębów. Widać było, że jest bardzo z siebie zadowolony. Na ten widok wybuchnąłem szczerym śmiechem, który mi sprawił pewną ulgę...

— To już jest niepotrzebne! — zauważył.

Godzina obiadu zbliżała się, a Joe Duncan nie powracał. Kazałem negrowi, by poszedł do Łucyi i poprosił ją do stołu. Potrząsał tylko przecząco swą okrągłą głową i roześmiał się krzykliwie:

— Nie można, panie! Zabroniono.

— Ach! tak! — zawołałem... Ona jest pod strażą Dżina!

I przyszła mi na myśl scena, którą słyszałem

poprzednio w swym pokoju. Bambu postawił, nie spiesząc się, jedno tylko nakrycie w pokoju jadalnym...

— A Łucya? — nalegałem... — A twój pan?

Dobry negr zrobił jakiś niewyraźny ruch...

— Mój panie?... Tam!... Tam!...

Potem dodał z sapnięciem, które miało wyrażać westchnienie na znak ulgi:

— Łucya?... Tfiut!...

I wskazał na okno, jakby chciał wyrazić, że ona już wyjechała, została uwolniona, jak ptak z klatki.

Jadłem obiad bez najmniejszego apetytu... Joe Duncan wrócił od Marcadiana dopiero o dziewiątej wieczorem... Ma się rozumieć, że nie spałem wcale, chcąc czekać na niego choćby przez noc całą. Ku memu wielkiemu zdumieniu był on zupełnie spokojny, a nawet muszę dodać, iż nigdy go jeszcze nie widziałem w tak pokojowym usposobieniu... To jednak zamiast mnie natchnąć dobrą myślą, jeszcze bardziej zaniepokoiło...

— Ach! oczekiwałeś mego powrotu, Jonatanie! — zwrócił się do mnie — to bardzo piękne z twej strony!

Bambu zdjął z niego zarzutkę. Przyglądałem mu się przy lampie. Człowiek ten, wybuchający gniewem przy każdej sposobności, miał teraz na twarzy maskę zatrzwaszającego spokoju... Maska ta miała nawet wyraz pewnej dobroduszości, zaprawionej jednak, jak mi się zdawało, złośliwością. Na etażerze w salonie złożył ostrożnie dwie małe paczki, starannie owinięte w papier... Gdy negr chciał się ich dotknąć, krzyknął Joe natychmiast:

— Nie ruszaj, kanalio!

Po cichu wydał mu kilka rozkazów, z których nie dosłyszałem ani słowa, potem powrócił spokojnie i siadł naprzeciw mnie.

— Wszystko bardzo dobrze! — zaczął śmiało i bez najmniejszego zakłopotania... Widziałem na własne oczy pannę Ewelinę Barrabas, która okazała się rozkoszną młodą panną, bardzo dystygowaną... nadzwyczaj dobrze ułożoną i wychowaną... i byłbym tym razem już barbarzyńskim ojcem, gdybym sprzeciwił się szczęściu Williama, jego narzeczonej i pańskiemu.

Ze zdumienia nie mogłem wypowiedzieć żadnego słowa.

— Och! — mówił dalej — niech się pan nie dziwi, że tak prędko, bez dyskusji zgodziłem się na ten źle dobrany związek... Mam swój plan, który panu odkryję w razie potrzeby. Mówię to w tej myśli, że nasz osobisty związek nie jest oszukańczy, nie prawda? Należy pan do mnie ciałem i duszą. Kiwnąłem potakująco głową.

— Za tę cenę zapewne szczęście panu i pańskiej córce... Na razie to tylko mogę panu powiedzieć. Co zaś do moich zamiarów, to pozwoli pan, że je zachowam jeszcze przy sobie... W miarę, jak będą się one spełniały, pojmie pan całą ich nieodzowność. A teraz niech pan śpi spokojnie, zwłaszcza wobec tej dobrej wieści, jaką panu przyniosłem i która, jeżeli jest pan roztropny, powinna napęlić serce pańskie radością i dumą... Niech pan idzie spać i śni przyjemnie!

Bambu ukazał się znowu ze świecą w ręku, by mi towarzyszyć na tajemniczy znak, jaki dał mu jego pan.

— Przepraszam! — zauważyłem... — ale Łucya Weill i jutrzejsza ceremonia w merostwie w Neuilly!... Jakie postanowienie pan powziął?...

Joe Duncan podszedł ku mnie, ścisnął mnie silnie za ręce i odpowiedział:

— Łucya Weill?... Pańskie małżeństwo?... Och! znaleźliśmy coś daleko lepszego, mogę pana zapewnić!... Przypuszczam, że panu nie chodzi o Łucyę Weill...

I dodał, kładąc nacisk na każde słowo:

— Łucya Weill nie istnieje już! Lub mówiąc jaśniej, Łucya Weill jest jak Barrabas, jak jego syn Polidor... ona jest i musi być jakby nie istniała wcale! — Zrozumiał pan teraz?

Chłód przeleciał mi po plecach. Pewność siebie tego człowieka więcej mnie przerażała, niż jego gwałtowność. Przypomniałem sobie wyrażenie Łucyi: „Człowiek ten zdolny jest do wszystkiego!“ i moje własne słowa: „Posunie się aż do zbrodni!“ Bardziej zmieszany niż kiedykolwiek, udałem się do swego pokoju, odprowadzony przez Bambu ze świecą.

Nieprzyjemnie mnie zdziwiło zamykanie mych drzwi na klucz przez negra, skrupulatnego wykonawcę otrzymanych rozkazów. Ostrożność ta, której już zaniechano od pewnego czasu, bardzo mnie zirytowała... Z jakiej racji ją wznowiono? Noc była jasna z miliardami gwiazd... oparłem się o okno, by w świetle księżyca marzyć o tem, co nazywałem początkowo szczęściem Eweliny. Przygód swego syna nie mogłem natomiast nawet domyślać się.